

Rozdział 1

Tikva

Ostatnie promienie zachodzącego za mną słońca zniknęły z nieba, sprawiając, że ulice Jerozolimy stały się ciemne i puste. W ciszę wdzierało się tylko stukanie moich butów o kamienie. Wilgotne, wietrzne powietrze surowo owiewało moje policzki. Instynktownie przycisnęłam do siebie trzymane w rękach zawiniątko.

W końcu, z wyraźną ulgą, skręciłam w stronę kamiennej klatki schodowej, prowadzącej do piwnicy. Kołysząc zawiniątko moją lewą ręką, prawą ręką sięgnęłam do kieszeni płaszcza i wyjęłam z niej ciężki, żelazny klucz, który po chwili z chrzęstem wszedł do zamka, a metaliczny dźwięk rozniósł się echem po korytarzu. Pospiesznie weszłam do środka, włożyłam klucz do zamka z drugiej strony drzwi, a ten sam chrzęszczący dźwięk upewnił mnie, że drzwi zamknęły się bezpiecznie.

Przeszłam przez pokój do łóżka stojącego po drugiej stronie i złożyłam na nim ciężące mi zawiniątko. Obok łóżka stała drewniana komoda. Wyczułam ręką jej blat, podniosłam pudełko zapalek i zapaliłam jedną. Jej mały płomień oświetlił lampę naftową stojącą na komodzie. Drugą zapalką zapaliłam lampę.

Oświetliła ascetyczny pokój, wybrukowany nagimi kamieniami. Ściany również były kamienne i, oprócz kalendarza ze zdjęciami wiszącego nad łóżkiem, nie było na nich nic. Poza łóżkiem i komodą w pokoju znajdowały się jeszcze trzy meble: stół i krzesło pod jedną ścianą oraz wiklinowy kufer pod oknem. W okno wstawiono ciężkie, żelazne kraty, ciche świadectwo strachu, który kazał każdemu mieszkańcowi zamieniać swój dom w fortecę.

Jeszcze raz spojrzałam na zawiniątko na łóżku. W brzydkiej, czarnej chuście leżała mała dziewczynka; jej malutkie ciało częściowo osłonięto poplamioną, bawełnianą podkoszulką. Skóra na jej twarzy była jak delikatny, żółty pergamin, sztywno rozciągnięty między kośćmi policzkowymi i gdy jej dotknęłam, prawie płonęła. Czarne włosy, mokre od potu, przylegały do skroni. Z głębokich oczodołów wyjrzało na mnie dwoje czarnych oczu i natychmiast się zamknęło.

Gdy odkrywałam kolejną warstwę szala i wyjęłam dziecięcą butelkę z kilkoma uncjami letniego mleka, na podłogę wypadł zgnieciony kawałek papieru. Delikatnie włożyłam smoczek do buzi dziecka i czekałam na reakcję. Na początku wysiłek związany z piciem wydawał się zbyt duży dla małej, ale po chwili zaczęła powoli ssać.

Podniosłam kartkę z podłogi i wyprostowałam ją. Zawierała trzy linijki tekstu, starannie zapisanego wielkimi literami:

TIKVA COHEN
URODZONA W JEROZOLIMIE
4 GRUDNIA 1927 ROKU

Odruchowo spojrzałam na kalendarz wiszący na ścianie. Był piątek. 28 grudnia 1928. Nie mogłam uwierzyć – to dziecko miało już ponad rok! Gdybym miała sądzić jedynie po jej wzroście i wadze, powiedziałabym, że nie miała nawet pół roku.

Gdy dziecko wciąż ssało, rozejrzałam się po pokoju. Potrzebowałam miejsca, gdzie mogłabym chronić ją przed wilgotnym powietrzem i chłodem kamieni. Czego użyć?

Mój wzrok padł na wiklinowy kufer pod oknem. Doskonały! Musiałam jeszcze czymś go wymościć. Szybko otworzyłam szuflady komody i wyciągnęłam z niej całą bieliznę i inne miękkie ubrania, jakie tylko mogłam znaleźć. Wyłożyłam nimi dno i boki kufra, starając się, jak mogłam, by było tam międko i przytulnie. Pokrywę kufra oparłam o krawaty okna.

Do tej pory dziewczynka zdążyła już zjeść i zasnąć. Delikatnie zdjęłam z niej bawełniane odzienie. Potem wzięłam niebieski wełniany sweter, który miałam na sobie i owinęłam nim małe ciało dwa albo trzy razy. Gdy kładłam ją w kufrze, mała natychmiast zapłakała, ale szybko się uspoko-

ła. Jej oddech był szybki, płytki, a gorączka wysyłała sporadyczne dreszcze przez całe ciało.

Gdzie mogę szukać pomocy? Przywołałam w wyobraźni obraz ciemnych, pustych ulic Jerozolimy, ogarniętych strachem i podejrzliwością. Każde drzwi były zamknięte, każde okno zasłonięte. Nie było telefonu, by wezwać karetkę czy lekarza. Byłam zamknięta w tym pustym pokoju z umierającym dzieckiem.

Spojrzałam na otwartą Księgę leżącą między lampą a komodą. Biblia. Czy jest w niej coś, co pomoże mi w tej trudnej chwili? Była otwarta na Liście Jakuba. Zaczęłam czytać aż do końca strony, a moją uwagę przykuły dwa wersety zaznaczone na zielono.

Choruje kto między wami? Niech przywoła starszych zboru i niech się modlą nad nim, namaściwszy go oliwą w imieniu Pańskim. A modlitwa płynąca z wiary uzdrowi chorego i Pan go podźwignie; jeżeli zaś dopuścił się grzechów, będą mu odpuszczone.

(Jk 5,14-15)

„Namaściwszy go oliwą...” – powoli powtórzyłam sobie te słowa. Olej był jedyną rzeczą, jaką posiadałam. Nie byłam „starszym” – to nie pozostawiało wątpliwości. Byłam jednak sama, bez jakiegokolwiek pomocy. I na pewno lepiej było zrobić, co mogłam, niż nie robić nic!

Otworzyłam szafkę, w której trzymałam tę moją odrobinę jedzenia. Wyjęłam butelkę i przysunęłam ją do światła. Zawartość błysnęła delikatnie, kolorem mającym coś z zieleni i ze złota. To była czysta oliwa ze wzgórz Judei – ten sam rodzaj oliwy, który przez minione stulecia był wylewany w czasie świętych namaszczeń królów i proroków Izraela.

Trzymając butelkę oleju w jednym ręku, uklęknęłam na kamiennej podłodze przy wiklinowym kufrze. Oddech dziecka stawał się coraz cięższy. Powietrze dookoła nas nagle zrobiło się dziwnie wilgotne. Przeszedł mnie zimny dreszcz. Stałam twarzą w twarz z niewidzialną obecnością Śmierci.

Żeby wzmocnić swoją wiarę, powtarzałam na głos słowa, które przed chwilą wyczytałam w Biblii: „Modlitwa wiary ochroni chorego...”! Drżąc lekko ręką, wylałam kilka kropli oleju na palce prawej ręki i powoli poprowadziłam je po czole dziecka.

„W Twoim imieniu, Panie Jezu!” – wyszeptałam. „To twoja mała siostra – należy do Twojego narodu. Ze względu na Twoje imię, proszę Cię, Panie, uzdrów ją!”

Po kilku minutach otworzyłam oczy. Czy mi się wydaje, czy dreszcze nie są już tak intensywne? Położyłam dłoń na policzku dziecka. Płonął!

Zamknęłam oczy i znów zaczęłam się modlić. „Panie, to Ty mnie tu przyprowadziłeś. To Ty powiedziałeś mi, że bym opuściła swój kraj i przyjechała do Jerozolimy. Panie, niech ci ludzie zobaczą, że w Twoim imieniu jest moc, że słyszysz i odpowiadasz na modlitwy”.

Czas zatrzymał się. Klęcząc przy kufrze, to modliłam się, to szukałam jakichkolwiek zmian w stanie zdrowia dziewczynki. Czasami jej oddech wydawał się uspokajać, ale jej ciało nadal rozpalone było przez gorączkę. Do końca życia widziałam jej czarne oczy, nienaturalnie głęboko wtopione w oczodoły, przypatrujące mi się poważnie.

W końcu moje kolana zeszywniały i zmarzły od klęczenia na twardej podłodze. Wstałam i zaczęłam chodzić tam i powrotem po pokoju, modląc się bez ustanku. Po godzinie czy dwóch stwierdziłam, że nic nie osiągnę, pozostając dłużej na nogach. Nawet jeśli nie zasnę, mądrzej będzie ochronić się przed wilgocią pomieszczenia i wejść do łóżka.

Zanim zgasilałam lampę, popatrzyłam jeszcze raz na dziecko, żeby stwierdzić, czy jest jakaś poprawa. Jak na razie, ustąpiły dreszcze. Wyglądało na to, że śpi. Jej ciało nadal jednak płonęło od gorączki. Jak długo jeszcze ta mała istota zdoła się temu oprzeć? W końcu zgasilałam lampę, weszłam do łóżka i przykryłam się kołdrą po szyję.

Gdy leżałam tak w ciemności, zaczęłam wracać w myślach do tej dziwnej serii wydarzeń, które przywiodły mnie tu, do Jerozolimy. Wydobyłam z pamięci obraz mapy Danii, wiszącej na ścianie sali lekcyjnej, gdzie jeszcze sześć miesięcy temu uczyłam geografii. Jak wyszczerbiona krzemienista strzała, Półwysep Jutlandzki ma na swym ostrzu Ska-gen. Na zawiętrznej Jutlandii, na wschodzie, tulą się dwie wyspy: Fionia i Zelandia, oddzielone od siebie wąskim pasem wody o nazwie Wielki Belt.

Na wschodnim brzegu Wielkiego Beltu i na południowo-zachodnim wybrzeżu Zelandii znajduje się miasto Korsør. Mój umysł z rozkoszą zaczął zagłębiać się w szczegóły. Jak bardzo kontrastowały one z realiami Jerozolimy! Ulice były czyste i jasno oświetlone. Po każdej stronie stały rzę-

SPOTKANIE W JEROZOLIMIE

dy zadbanych domów z cegły, pokrytych czerwoną dachówką i białymi podstrzeszami. Znów słyszałam cieniutkie głosiki śpiewające piosenkę, której uczą się wszystkie duńskie dzieci:

*I Danmark er jeg født,
Der har jeg hjemme....*

*W Danii urodziłem się,
I tam mój dom jest...*